

Gnulo

Jan Gondowicz

„NAJWYŻSZYM URZECZYWISTNIENIEM TEJ »SZKOŁY« BYŁY CHYBA owe bankiety pijanych oficerów gwardii carskiej – na których przywiązywano sobie sznurek do organu męskiego, po czym, pod stołem, jeden ciągnął drugiego za sznurek, a ten, kto pierwszy nie wytrzymał i krzyknął, płacił kolację” (*Dziennik*, 1955). Skąd wziął się Gombrowiczowi ten przykład deklaratywnej męskości? Od Witkacego oczywiście, uczestnika tych zabaw, co warto polecić uwadze tyleż witkaco-, ile gombrowiczologów. Za sprawą tej anegdoty Witkacy stał się, jak podejrzewam, akuszerem tego, co w trzy lub cztery lata później przybrało formę powieści – akuszerem ferdydurkizmu. Jako że ferdydurkizm to właśnie wzajemne i naprzemienne pociąganie za sznurki przywiązane mentalnie do najczulszych miejsc bliźnich, nawet choćby tylko mijanych na ulicy. Wiedzą coś o tym panie i różni odmienicy.

Krótko mówiąc, ferdydurkizm zmienia stosunki międzyludzkie w tak zwany agon, czyli turniej, grę o zasadach symetrii lustrzanej, farsowo spekulatywnej geometrii. Okres ferdydurkiczny w twórczości Gombrowicza zamyka ostatnie z opowiadań, nazwane nieprzypadkowo *Bankiet*, o genezie jawnie przedwojennej, ukończone w lipcu 1951. Alejandro Rússovich, który rzecz jasna nie znał tekstu, brutalnie i bałamutnie streszcza po latach pisarskie męki przyjaciela: „Jak sprawić, żeby stary król zjadł gówno i jednocześnie by było to zupełnie prawdopodobne i logiczne?”. W dwa lata potem, na złość Giedroyciowi, który *Bankiet* odrzucił, ogłosili go londyńskie „Wiadomości”. Lecz autor, wciąż niekontent, z okazji wydania krajowego w zbiorze *Bakakaj* (1957) puścił w ruch nożyczki, wskutek czego powstały wersje londyńsko-paryska (L) i krakowska (K). Badacze Gombrowicza, a nawet on sam, obie pomijają milczeniem. Choć przecie chybiony Gombrowicz to istny ewenement!

A opowiadka tak prawi: pewne państwo dość znaczne ma za króla szubrawca. Król Gnulo zasadniczo zdolny jest do wszystkiego i aparat państwowy skupia wysiłki na tamowaniu tych zdrożnych zachcianek. Niegodziwość króla jest bowiem tajemnicą publiczną, tym dotkliwszą, im bliżej szczytów prestiżu i władzy, gdzie tylko się wzdycha, bo cóż robić. Nawet naiwnych wyprowadza z błędu styl bycia, a zwłaszcza gęba władcy. Aliści polityka dynastyczna ma swe prawa i czas króla ożenić. Z ościennej krainy sprowadzona zostaje arcyksiężniczka Renata Adelajda Krystyna, dotąd jeno z portretów znająca oblubienica. Na myśl o tym, co stać się może, gdy ujrzy go żywcem, rada ministrów popada w długą prostrację. Zwłaszcza że posiedzenie nawiedza sam Gnulo, nie wprost, lecz niedwuznacznie żądając za trudy mariażu stosownej, acz wielce niestosownej gratyfikacji specjalnej. „Sprzedawczykiem był król! Król się sprzedawał! W beczelnej, podłej, nienasyconej chciwości swojej król był sprzedawczykiem tak przekupnym, jakiego jeszcze nie znała historia. (...) Król na luty i funty sprzedawał własny swój majestat”.

Ktoś jednak jeszcze zna tę królewską słabość. I w trakcie uroczystej recepcji, gdy narzeczona kroczy w stronę tronu, w kieszeni perfidnego ambasadora wrażego mocarstwa zdradziecko brzękają drobniaki. Gdyż „tak zapamiętała w podłości była dusza króla, tak trywialnie ciasna, że nie pożądał on sum większych, a właśnie drobne, niewielkie sumy zdolne były zaprowadzić go na samo dno piekła”. Toteż słysząc luby dźwięk, Gnulo oblizuje się lubieżnie. Na oblicze arcyksiężniczki wypelza wyraz wstrętu. Lecz wówczas kanclerz koronny desperacko oblizuje się także i z mocy etykiety cały dwór, notable i korpus dyplomatyczny muszą zrobić to samo. Zostaje to przyjęte za regułę działania nazajutrz, na bankiecie. Cokolwiek robi król, mają czynić to wszyscy, by władcę ujarzmić duchowo. Ale duchowość jest Gnulowi obca: gdy raz (wersja K) lub trzykrotnie (wersja L) dobiega go brzęk drobnych, puszcza mu hamulce. To zrywa się, to siada, aż na koniec w obliczu tysięcy lustra, nie wiedząc, jak się wymknąć, mimochodem dusi Renatę Adelajdę Krystynę. Ma się rozumieć, na sali duszone są w tej chwili wszystkie będące pod ręką damy. Co widząc, Gnulo rzuca się do ucieczki, w pogoni za nim reszta. Wśród patetycznych surm i salutów armatnich król, sprawiając wrażenie, iż nie umyka, lecz gna do szturmowania na czele bankietu, schodzi wreszcie ze sceny historii.

Skąd u Gnula ta łapczywość na grosze? Stąd, że autor igrał z myślą, iż nieznaczne przyczyny wywołują wielkie skutki. Cichy brzęk, szept, krzywe spojrzenie zdolne są zmienić losy królestw. Jak zawsze, pasjonowało go crescendo nieodwracalnych następstw, morfologia skandalu. Ten ostatni wymaga zaś katastrofy zbiorowego wyparcia, czyli eksplozji tłumionej przez rację stanu wiedzy o niegodziwości króla. Drobny dźwięk drobnych – i niebawem stłamszona rzeczywistość wystawia tryumfalnie odrażającą mordę. Narastanie tego procesu każe tu wspomnieć crescendo *La calunnia*, arii z pierwszego aktu *Cyrylika sewilskiego* Rossiniego. Przewrotny ksiądz Don Basilio wyklada tam, jak dobrze puszczona plotka najprzód powiewa niewinnie, snuje się nad ziemią, zmienia się w szmerek, penetruje uszy, wciska się do głów, które od niej puchną, staje się wszechobecna, aż wybucha armatnim gromem, unicestwiając ofiarę. *Fake news* jak się patrzy! Oto właśnie ferdydurkiczne klimaty. Takie reminiscencje oper, wsparte potęgą muzyki, jak aria o demonizmie pieniądza *Złoty cielec* z *Fausta* Gounoda czy o pysze, jak aria Toreadora z *Carmen* Bizeta, kształtowały przed laty wyobraźnię pokoleń. A Gombrowicz był muzykalny i kochał obiegowe moralia.

W gruncie rzeczy *Bankiet* przedstawia zmagania, jak się dziś mówi, technik performatywnych w wykonaniu króla i jego antagonistów. Obie strony improwizują, demolując kolejno konwenanse, przyzwoitość, kodeks dyplomatyczny, a w końcu samą logikę. Bezstydnym kuzyn króla Ubu Alfreda Jarry’ego i króla Ignacego z *Iwo-ny* wciąż sprawdza, na co jeszcze może sobie pozwolić, elita poddanych prokuruje sposoby mające go poskromić. Słowem – Gnulo na tronie to permanentny performans. ☉